

Szalony — Atylda

Od autora: Wracam do pisania po siedmiu latach. Wracam za sprawą Szalonego. To pierwsza próba stworzenia książki.

Prolog

Jedenastego lutego, równo siedem lat od momentu, gdy ostatni raz czułem zapach świeżej trawy, a w moich żyłach czerwone krwinki mieszały się z białymi nieoczekiwanie zostałem wezwany przed oblicze samego Pana.

Ja, szarlatan, pokutujący za swoje nieczne uczynki, oceany kłamstw, setki pokiereszowanych serc i odziedziczoną po ojcu skłonność do oddawania się lubieżnym uciechom, miałem za chwilę ujrzeć oblicze naszego Stwórcy.

Przepełniony obawą, w asyście dwóch strażników przyodzianych w srebrzyste zbroje wkroczyłem do ogromnej Sali. Blask Najwyższego oślepił moje źrenice, które przywykły już do półmroku czyścica. Cała jego postać była jakby jednym lśnieniem. Nie dało się dostrzec jak wygląda, nie ludzkim okiem. Zwróciłem więc wzrok na drugą postać.

To Czarny Anioł stał po prawicy Pana. Widziałem go już wcześniej. Gdy wyprowadzał od nas dusze odkupionych.

- Witaj Szalony.

Przemówił łagodnie.

- Zdarzył się błąd o którym winniśmy Cię poinformować.

Z każdym jego słowem moje źrenice rozszerzały się coraz bardziej. Gdzieś w Stanach istniał inny Szalony. Lat trzydzieści osiem. Chory na stwardnienie rozsiane. Siedem lat temu, na łożu śmierci oddano mu moje życie. Moje życie. System się zawiesił.

Patrzyli na mnie, jakby czekali co zaraz powiem. Tymczasem moje usta, od dawna pozbawione głosu uparcie milczały. Mózg trawił.

Zza tronu Pana wysunęła się Koścista śmierć i zbliżyła do mnie na odległość około czterdziestu centymetrów. Z wyciągniętą dłonią pozbawioną mięśni, ścięgien i skóry. Jej długie paliczki zacisnęły się na moim prawnym ramieniu. Nie powiedziała nic. Kaptur przysłaniał jej twarz. Nie widziałem oczu. Czy śmierć ma oczy?

- Ona chce Cię przeprosić. - Powiedział Czarny Anioł. – My również chcemy.

- Nie chcę waszych przeprosin.

Wściekłość wzięła górę nad strachem. Mój głos, mimo że schrypnięty stanowczo rozniósł się echem po olbrzymiej sali.

- Więc czego chcesz chłopcze?

- Chcę wrócić.

Zapadło milczenie. Czarny Anioł zwrócił zdumione oblicze w kierunku Pana.

- Słyszałeś Jahrim, niech wróci. – Rzekł Stwórca. – Skoro taka jest jego wola. I nakazał wyprowadzenie mnie z Sali.

Zostałem przeprowadzony do pomieszczenia, gdzie nigdy nie zapadał zmrok, a czas biegł bardzo wolno. Tu miałem oczekiwać na swoje nowe życie. Ponieważ nie odczuwałem senności natrętnie myśli pożerały mój mózg, schowany pod łysym sklepieniem czaszki. Wracały do mnie ponure obrazy z dnia gdy wydałem ostatnie, żywe tchnienie. Cholera! Trafiłem w ciemną otchłań, pokutowałem, cierpiałem męki, bo ktoś na dole fartownie przechwycił mój żywot.

Miałem zaledwie trzydzieści lat. Byłem pisarzem. Wydałem trzecią powieść, która miała dać mi chwałę ostateczną. Sprawić, że pławiłbym się w luksusach. Była najlepsza z wszystkich trzech. Moja perełka. Duma. Najwybitniejsze dziecko. Wiodłem dostatnie życie niepozbawione zabaw, szaleństw, pięknych kobiet i używek. Szczęśliwy człowiek u progu życia. Szalony!

Siedem lat temu to wszystko się brutalnie skończyło. Zostałem pozbawiony tętna i zesłany do świata cieni. Mrocznej krainy martwych. Okrutna Śmierć zawładnąwszy ciałem jakiegoś podrzędnego rabusia tępym nożem rozcięła mój brzuch w poprzek. Sprawiała, że krew z poszarpanych żył i tętnic zaczęła tryskać i zalewać kremowy dywan w salonie. Później, by mieć pewność absolutną, iż jeszcze tego wieczora wyzionę ducha poderżnęła mi gardło. A wszystko to było... pomyłką.

Zostałem zaatakowany tuż po kolacji, gdy w ulubionym fotelu sączyłem wytrawne wino i patrzyłem na ogniki tańczące walca w kominku.

Nie wiem jak długo siedziałem w pustym pomieszczeniu, nim drzwiczki otworzyły się i na powrót ujrzałem oblicze Czarnego Anioła. Szybko jednak zrozumiałem, że na próżno upatrywać w nim przyjaciela. Przemówił do mnie chłodnym tonem.

- Wstań i w milczeniu podążaj za mną.

Wstałem więc posłusznie i zrobiłem co nakazał. Mimo, że to ja byłem ofiarą ich systemu miałem wrażenie, że nadal traktują mnie jak jednego ze swoich więźniów. Szliśmy szerokim korytarzem mijając po kolei drzwi różnych rozmiarów, kolorów, drewniane, metalowe, plastikowe, szklane. Czasami słyszałem zza nich jakieś odgłosy, rozmowy, czasami cichy płacz, a najczęściej ciszę.

Zatrzymaliśmy się gdzieś w połowie drogi, przy żelaznych, nieco pordzewiałych wrotach, przypominających wyglądem wejście na zamkowy dziedziniec. Wrota zaskrzypiały i uchyliły się lekko. Czarny Anioł wskazał mi ręką abym wszedł do środka. Dostrzegłem, że w jednym z jego rogów stoi fotel. Mały, bujany fotelik, na który ktoś jakby od niechcienia zarzucił stary koc. Nagle poczułem, że moje powieki robią się ciężkie. Położyłem się w bujance i pozwoliłem by mój umysł odpłynął.

Rozdział 1

Obudziło mnie muśnięcie świeżego wiatru na lewym policzku. Otworzyłem niemrawo oczy. Nade mną rozciągał się błękit nieba. Uwarzcie mi, płakałem jak dziecko.

Wstałem. Z kieszeni wypadły mi niewielki plik banknotów i rozbity telefon. Byłem ubrany w to samo co tamtego feralnego wieczora. Trzeba ustalić gdzie jestem, bo okolica nie wyglądała znajomo.

W oddali kilku metrów wypatrzyłem małego chłopca. Siedział sam na jednej z drewnianych ławek i spoglądał w niebo. Hmm... pomyślałem, że to dziwne, że ludzka istota tak niewielkich rozmiarów została pozostawiona sama sobie.

Kiedy byłem jakiś metr od ławki chłopiec spuścił wzrok z nieba i przeniósł na moją twarz. Wielkie, atramentowe oczy wydały mi się otchłanią smutku. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Pan po mnie? - zapytał cienkim, łamiącym się głosikiem – Pan mnie zabierze do mamy?

- Chciałbym. Ale nie wiem gdzie jest Twoja mama – odrzekłem smutno.

- Szkoda. Jestem już trochę głodny. – widziałem, że dzielnie próbował powstrzymać łzy napływające do oczu

- Jak długo tu siedzisz?

- Tata zostawił mnie tu wczoraj, po wieczornym spacerze. Powiedział, że teraz trafię do mojej mamy.

Byłem zdumiony. Malec mógł mieć raptem siedem lat.

- Wie Pan, ja nawet nie wiem jak wygląda moja prawdziwa mama. Odeszła zanim skończyłem dwa latka. Wychowywała mnie Pani Jadzia z mieszkania obok. Kiedyś poprosiłem, żeby Tatuś pokazał mi kilka jej zdjęć, ale strasznie przy tym płakał więc nie prosiłem więcej.

Świetnie, pomyślałem. Miało dziecko w życiu szczęście. Najpierw porzuciła go wyrodna matka, a teraz wyrodny ojciec. Poczulem się w obowiązku, żeby mu pomóc.

- Mam pomysł. Pójdziemy na komisariat. Tam na pewno nam pomogą. A po drodze zahaczmy o tamtą budkę z hot-dogami. Widzisz, tam za rogiem.

- Myślisz, że mają frytki? – zapytał malec.

- Na bank – uśmiechnąłem się i objąłem go. Był strasznie zimny. Nic dziwnego, skoro spędził tu noc i chłodny poranek.

- Chodź mały.

- Antek. Mam na imię Antek. Na cześć mojego przyszywanego dziadka, męża Pani Jadzi. A Pan?

- Szalony.

- Dziwne imię.

- Dziwne – potwierdziłem.

Gdy wstaliśmy z ławki wsunął swoją drobną dłoń w moją. Sięgał mi zaledwie do pasa.

- Ile masz lat?

- Sześć. A Pan?

- Dużo więcej.

- Jestem głodny. A Pan?

Roześmiałem się słysząc kolejny raz ten sam zwrot.

- Ja też. Pośpieszmy się nim kiszki wygrają mi całego marsza.

Młoda kobieta w środku budki spojrzała na mnie jak na wariata i jakby od niechcienia wskazała ręką drogę do najbliższego komisariatu. Kupiłem Antkowi duża porcję frytek na wynos i sok pomarańczowy. Pochłaniał je w zatrważającym tempie. Przez chwile miałem nawet obawę, że się zakrztusi.

- Poznajesz coś z tej okolicy? Tu mieszkasz? – starałem się wyciągnąć z niego jakieś informacje, wskazując na różne ulice, budynki i stare kamienice. Chłopiec nic jednak nie pamiętał i nic nie rozpoznawał.

Usłyszałem dźwięk dzwonka. Mój telefon. Kto dzwoni po siedmiu latach? Numer nieznanym. Posadziłem malca na najbliższej ławce i niepewnie wcisnąłem zieloną słuchawkę.

- Gratuluję – usłyszałem po drugiej stronie głos Czarnego Anioła– masz pierwszego.

- Coooo???

- Chłopiec, sześć lat. Zamordowany wczoraj wieczorem przez własnego ojca. Za mały, żeby cokolwiek zrozumieć, potrzebował Twojej pomocy. Wysyłaj go do nas. Mama tu na niego czeka.

- Zaraz, zaraz jakie wysyłaj? Co tu się dzieje do jasnej cholery?

- Odwróć się.

Spojrzałem za siebie. Widać było w oddali, że frytki, które tak ochoczo pochłaniał Antek tworzył na chodniku długą ścieżkę.

- To była jedyna możliwość, żebyś mógł wrócić.

- Jaka możliwość?

- Zostałeś Przewodnikiem.

- Co to oznacza?

- Że znajdujesz dusze innych i wysyłasz do nas; w zamian za to życie.

Byłem wściekły. Wiedziałem jednak, że dobrowolnie nie wrócę do czyśćca.

- Więc co mam teraz zrobić?

- Połóż rękę na głowie chłopca i powiedz „odejdz”.

Rozłączyłem się i spojrzałem na ławkę. Chłopiec – duch wpatrywał się we mnie.

- Antek, zmiana planów. Zabieram Cię do mamy.

- Hurrraaa!!! – jego buzia się rozpromieniła.

- Ale wcześniej musisz coś zrozumieć. Mama jest w niebie i Ty też tam pójdziesz.

Przyjął to nadzwyczaj spokojnie. Na koniec powiedział coś, co utkwilo mi w pamięci na lata.

- A czy mój tata też kiedyś do nas dołączy? Będę za nim tęsknić. Ja wiem, że nie wolno zabijać, ale on to zrobił bo był bardzo smutny. Pani Jadzia mówiła, że ma depresję. To taka straszna choroba. – wtedy uświadomiłem sobie, że miłość dziecka bywa bezwarunkowa.

To było moje pierwsze zlecenie.

Do kolejnych misji byłem już znacznie lepiej przygotowany.. Siadałem obok ludzi w autobusie, na ławce, czasem ściągałem ich z chodników tuż po wypadku. Jedni byli bardziej zdezorientowani, inni mniej.

Kiedyś przyszedłem po dziadka co mieszkał sam z psem. Stary grzbiet był całym jego światem. Dziadek nie miał rodziny ani przyjaciół. Umarł nagle, we śnie. W wieku osiemdziesięciu trzech lat. Czekał na mnie ubrany w bawełnianą piżamę, wyraźnie przybity.

- Co się z nim stanie? Kto weźmie takiego kundla, emeryta?

Popatrzyłem na ekran telefonu. Mieliśmy jeszcze trochę czasu. Wieczność może zaczekać.

- Jak się wabi pies?

- Toner.

- Dziwne imię dla psa.

- Ma swoją historię.

Dziadek wstał i podszedł do ściany, z której ściągnął wyblakłe zdjęcie oprawione w drewnianą ramkę i podał mi je do ręki. Fotografia przedstawiała młodego mężczyznę siedzącego za starą maszyną do pisania. Uśmiechał się. Wyglądał na szczęśliwego.

- Czterdzieści lat pracowałem w tej drukarni. Najpierw przepisywałem krótkie teksty, później całe

książki. Kiedy weszła nowa technologia przenieśli mnie do archiwum. Zajmowałem się segregowaniem dokumentów i utylizacją starego sprzętu. Pewnego letniego popołudnia, wyrzucając kartony po zużytych tonerach znalazłem tego oto nieszczęśnika.

- Teraz rozumiem. Czy Toner jest agresywny? Jak reaguje na dzieci i inne psy?

- To zazdrośnik. Potrzebuje dużo uwagi. Ale krzywdy nikomu nie robi.

Popatrzyłem na kundelka. Wielki łeppek i nieproporcjonalnie krótkie łapki sprawiały, że wyglądał mocno nieporadnie.

- Widzi? Słyszysz? Choruje na coś?

- Ma lepsze zdrowie niż psie młodzieniaszki. Tylko z cukrem trzeba ostrożnie.

Szybko przywołałem wspomnienia wszystkich ludzi, którzy odchodzili. Szukałem historii, w której mogę umieścić to małe, bezbronne stworzenie.

- Niech Pan założy klapki. Mam pewien pomysł.

Zaprowadziłem ich na dworzec, gdzie wsiedliśmy w pociąg relacji Kraków - Warszawa. Pies był rzeczywiście bardzo grzeczny. Szedł, trzymając się blisko mojej nogi.

- Czy on mnie jeszcze widzi i słyszy? - zapytał staruszek po chwili milczenia.

- Niestety nie. Ale na pewno Pana czują. Inaczej nie byłby taki spokojny.

W Warszawie odnaleźliśmy starą, przedwojenną kamienicę. Jedną z nielicznych, która ocalała. Stąd kilka tygodni temu zabrałem Łukasza. Zajrzałem przez okno do mieszkania na pierwszym piętrze. Pani Danusia siedziała przy stole i piła kawę. Po drugiej stronie stołu stał pusty wózek inwalidzki. Pani Danusia samotnie wychowywała niepełnosprawnego syna. Po jego śmierci została sama. Młody mówił mi, że mama kochała zwierzęta, ale z uwagi na jego alergię musiała zrezygnować z ich posiadania.

- Toner. Zostań tu i czekaj. Poleciałem psu. Następnie cicho zastukałem w okno.

Zanim kobieta zdążyła podnieść się z krzesła nas już nie było. Z oddali kilku metrów patrzyliśmy jak bierze kudłacza na ręce i przytula.

- A więc możemy już iść, czy coś jeszcze?

Zapytałem starego drukarza

- Możemy iść. Dziękuję.

Rozdział 2

Drrr – dźwięk budzika wrywa mnie z głębokiego snu. Godzina 7:00. Tej nocy znów miałem koszmar, że jestem w czyścicu, strażnicy krzyczą, a baty smagają moje wątłe plecy. Po przebudzeniu w nozdrzach

czułem ten znajomy smród wilgoci. Czy to wspomnienie kiedyś mnie opuści?

Wczoraj minęły trzy lata od powrotu. W tym czasie przeprowadziłem czterysta pięćdziesiąt dziewięć dusz. Zostały czterdzieści dwie, by przekroczyć magiczną barierę pięciuset i zostać zwolnionym ze służby. Na tyle zostało wycenione moje przywrócone życie. Dużo, niedużo. Nie mi to oceniać.

Zakopałem się przed światem w niewielkim, drewnianym domku w pobliżu jeziora. Z jednej i drugiej strony okala mnie las, chroniąc przed niechcianymi intruzami. Kupiłem go za grosze i siłą własnych rąk doprowadziłem do użytku. Miałem sporo wolnego czasu pomiędzy jednym telefonem a drugim. Należało go jakoś spożytkować. Ściany są może nieco krzywe, podłoga skrzypi, a drzwi wypadają z zawiasów. Wszystko to jednak rekompensuje ten błogi zapach sosen, brzoź i świerków. Wieczorami siadam na niewielkim tarasie porośniętym mchem, spoglądam na zielono-błękitną taflę jeziora i w pobazgranym notatniku piszę dla was tę historię.

Do najbliższego miasteczka, oddalonego o trzydzieści kilometrów jeżdżę średnio raz na dwa tygodnie. Po żywność. Pieniądze kradnę umarlakom. Wiem, mało moralne. Nikt jednak nie zatrudni człowieka, który jednego dnia jest w Gdańsku, drugiego w Nowym Sączu, a trzeciego w Lublinie. Do tego bez własnej tożsamości.

7:32. Nerwowo spoglądam na ekran teflonu. Milczy od jedenastu dni. Zdarzały się przerwy pomiędzy jednym zleceniem, a drugim. Nigdy jednak nie były tak długie, średnio trzy, cztery doby.

Wolałbym, żeby licznik przyspieszył. Chciałbym już być wolny, żyć według własnych planów i zasad. Jak kiedyś. Ta samotność mnie dobija.

Otwieram lodówkę. Pół kostki masła, dwie sztuki parówek drobiowych i nadgryziony pomidor. Z chlebem też krucho. Cztery kromki. Rzekłbym tak umiarkowanie świeże. A więc to dziś nadszedł ten dzień. Zaparzę kawę, wypiję i trzeba ruszać po niezbędne zaopatrzenie.

Na dworze jest ciepło. Bardzo przyjemnie jak na początek wiosny. Wsiadam do starego dżipa. Rocznik 2001. Trochę pordeziewiały, maska klepana, powypadkowy, ale idealny na leśne ścieżki i kamienne podłoża. Do tego duży bagażnik. Wziąłem go w spadku po młodym chłopaku, co wyzionął ducha po przedawkowaniu mefedronu. Był tak naćpany, że chyba nawet do niego nie dochodziło, że czekają go czarna dziura i lata pokuty.

Włączam radio. Marek Grechuta śpiewa, że piękne są w życiu te dni, których jeszcze nie znamy. W schowku leży bezpiecznie pięć tysi. Przynajmniej gotówka się zgadza.

Miastowi przywykli już do dzikusa z lasu, który czasem do nich wpada. Trzymają jednak chłodny dystans. Pewnie zakładają, że jestem seryjnym zabójcą, albo świadkiem koronnym.

Nieduży sklep samoobsługowy, do koszyka pakuję kilkanaście konserw, butelki z wodą mineralną, bułki, bochenki chleba. Część z nich zamrozę. Sięgam po chłodne piwo z lodówki. Niiiee... jednak nie. Telefon może zadzwonić w każdej chwili. Trzeba będzie się pakować i jechać. Nie po to wracałem, żeby się teraz zabić po pijaku.

- Trzysta osiemdziesiąt dwa złote trzydzieści groszy.

Młoda kasjerka uśmiecha się do mnie. Chyba jest tu nowa, nie widziałem jej wcześniej. Kilka nadprogramowych kilogramów i burza rudych włosów.

Wyciągam czterysta złotych.

- Reszty nie trzeba.

Z dawnego życia pozostała mi w krwi rozrzutność bogatego pisarza.

Właśnie. Moje książki. Tuż po powrocie dowiedziałem się, że ostatnia wcale nie była tak genialna. Nakład się nie sprzedał. Zalegała na witrynowych półkach księgarni. Zainteresowanie poprzednimi przez lata też się wypaliło. Mama podupała na zdrowiu i odeszła trzy lata po mnie. Nie spotkałem jej w czyścicu, więc zakładałem, że trafiła prosto do nieba. Podupały majątek, który zbiłem na dwóch pierwszych powieściach poszedł pod młotek. Byłem już zapomnianym autorem. Zaczynałem od zera. W zasadzie dopiero zacznę, gdy odbębnię co trzeba dla góry.

Mimo to maskuję się, żeby nikt mnie nie rozpoznał. To zerwałoby moją niepisaną umowę z Czarnym Aniołem. Umarli nie mogą żyć. Nie mogę zburzyć porządku tego świata.

Upycham siatki do bagażnika. Uporczywe burczenie w brzuchu przypomina mi o braku porządnego śniadania.

- Ktoś tu chyba jest głodny. To by tłumaczyło ten pośpiech w sklepie.

Odwracam się. Ruda kasjerka stoi tuż za mną.

- Zapomniał pan portfela.

- Dziękuję.

- Nie jest Pan samotny nad tym jeziorem?

Milczę. Nie lubię ciekawskich. Uważam za zagrożenie. Nie chciałbym by przyplątała się za mną do chatki na podwieczorek. Nie zrozumcie mnie źle, wydaje się miła, ale ja muszę być ostrożny. Nadzwyczaj ostrożny. Za dużo mam do stracenia.

Dziewczyna patrzy na mnie oczekując odpowiedzi. Jej oczy błyszczą. To obcy obraz dla kogoś, kto częściej patrzy w oczy umarłych niż żywych.

- Przepraszam, ale spieszę się. Mam jeszcze sporo rzeczy do załatwienia. Do zobaczenia.

Zamykam bagażnik, wymijam rudowłosą i siadam za kierownicą.

- Do zobaczenia Panie Szalony.

Szalony? Chwila. Moje ciało drętwieje. Przeszywają mnie dreszcze. Tylko nieliczni znają ten pseudonim, nadany jeszcze za dzieciaka. Wyczuwam kłopoty.

Odjechałem z piskiem opon. Trochę jak tchórz. Myśl o dziewczynie nie dawała mi spokoju przez resztę dnia. Telefon nie zadzwonił. Postanowiłem wieczorem przycząić się pod sklepem w oczekiwaniu aż rudowłosa skończy swoją zmianę. Bałem się, lecz jednocześnie wiedziałem, że muszę rozwiązać tę zagadkę.

Ubrany w czarny dres siedziałem w samochodzie od godziny 17:00. Zaparkowałem wzdłuż ulicy. Kilka metrów od sklepowego parkingu. Dwie godziny obserwowałem ludzi wchodzących i wychodzących przez duże, szklane drzwi. Ziewając i popijając kawę z termosu wymyślałem różne wersje.

Może kobieta była starą znajomą ze szkoły, może fanką mojego pióra, a może po prostu ktoś kiedyś gdzieś usłyszał jak mówię o sobie per Szalony i wieści szybko się rozniosły.

Ta ostatnia wersja była jedyną, która ratowałaby mój tyłek. Pozostałe dwie mocno skomplikowałyby całą sytuację. Oczywiście zawsze mogłem się wykpić, udawać że ja to nie ja, ale ta pewność w jej głosie, to przekonanie...

Ku mojemu niezadowoleniu zaczął padać lekki deszcz, zamazując pole widzenia. Krople rozpryskiwały się na szybie, by następnie strumieniami zlatywać w dół. Poirytowany przekręciłem kluczyk w stacyjce, aby puścić w ruch wycieraczki.

Wtedy drzwi od strony pasażera otworzyły się i burza rudych włosów wpakowała się na fotel obok mnie. Idiota. Jak mogłem nie zamknąć drzwi!

- Pogoda pod psem. Zimno, mokro. Długo tu czekasz? Przepraszam, nie powinnam była wsiadać bez pytania, ale odpaliłeś silnik, bałam się że odjedziesz. Wiedziałam, że wrócisz. Dobrze, że wróciłeś. Cze-kałam na ciebie dwa tygodnie. Dwa tygodnie pracowałam w tym durnym sklepiku za grosze. Nieźle się ukryłeś nad tym jeziorem. Mówią, że masz tam porozkładane wnyki i sidła. Przyznam, że gdybyś dziś się nie zjawił w sklepie być może zaryzykowałabym wyprawę tam.

Potok słów wylewał się z jej ust. Mówiła do mnie jak do starego przyjaciela. A ja miałem tylko jedno, podstawowe pytanie. Kim ona do cholery jest.

- Dlaczego mnie szukasz?

- Nie ja. My.

- Jacy my?

- My wszyscy, którym ktoś kiedyś odebrał życie. Kojarzysz słowa „system się zawiesił”?

Nie musiała mówić nic więcej. Wiedziałem co to oznacza. Takich jak ja, wracających było więcej.

- Chyba zgodzisz się ze mną, że mamy poważny problem. Kiedy ostatnio odebrałeś telefon?

- Jedenaście dni temu.

- Sam widzisz. Ja czekam dwadzieścia dni, Deju dwadzieścia dwa, a Mery od prawie miesiąca nie miała zleceń. Coś jest nie tak. Ktoś nas blokuje. Poza tym dwoje z nas, w niedługim czasie zaginęło w niezna-nych okolicznościach. Stwierdziiliśmy, że musimy trzymać się razem dopóki sprawa się nie rozwiąże.

Wchodzisz w to?

- Wchodzę.

Nie miałem bladego pojęcie co tu się dzieje, ale dziewczyna brzmiała na tyle przekonywująco, że postanowiłem jej zaufać.

Czterdzieści minut później siedzieliśmy już wszyscy razem w moim salonie. Ana, bo tak na imię miała nieznajoma nerwowo zerkała w kierunku okna.

- Uspokój się. Wprowadzasz nerwową atmosferę. I tak wszyscy jesteśmy już mocno zestresowani.

Dejv, młody chłopak, wyglądający na jakieś maks dwadzieścia lat, z czupryną utlenionych na blond włosów zdawał się być wyraźnie porytmowany jej zachowaniem.

- Cieszymy się, że Szalony wziął nas dziś do siebie. Bo od tamtej obskurnej sofy w motelu bolał mnie zadek. Swoją drogą ja czyhałem na Ciebie na stacji benzynowej. Zakładałem, że tam też musisz się pojawić. Tyle, że ja nie znałem tak dobrze Twojej twarzy jak Ana. Ona jest twoją fanką, ja nie przeczytałem nic od czasów Pinokia.

- Skąd dowiedzieliście się o mnie i o sobie nawzajem?

- Od niej. – Kiwnął głową w kierunku Mery. – Ona była pierwsza. Znalazła najpierw Anę, później Ewę, mnie i teraz Ciebie.

Szczupła blondynka o której mówił chłopak spała spokojnie na rozkładanej sofie. Stwierdziłem, że nie będę jej budzić. A do pytania wrócimy rano.

Ana ziewnęła. Cała trójka wyglądała jak z krzyża zdjęta.

- Jak ktoś jest głodny to w lodówce jest zarcie. W łazience powinny być ze dwa ręczniki. Do mycia też coś się znajdzie. Tylko uwaga na kran, czasem odpada pokrętło. Trzeba delikatnie. Ja idę spać. Dejv z racji braku miejsca musisz przekimać ze mną. Jutro skoczmy do miasta i kupimy jakieś leżanki.

Wziąłem szybki prysznic, by nie blokować pozostałych i położyłem się do łóżka. Przekonany, że sprawa milczących telefonów szybko się rozwiąże.

Rozdział 3

Budzę się wcześniej rano, szalenie niewyspany. Czwartą noc pod rząd znów śnił mi się ten sam sen. Zaświaty. Baty smagają nad moją głową, gdy na stromą górę wnoszę na barkach kamienne cegły.

Obok mnie w łóżku nie ma nikogo. Zarzucam na siebie bluzę i przemykam z sypialni do niewielkiej

kuchni, połączonej z salonem. Dziewczyny, wtulone w siebie jeszcze smacznie śpią. Zaczekam z kawą, żeby ich nie budzić. Pomimo okoliczności cieszę się, że mnie odnaleźli. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie czuję się tak przerażająco samotny. Dawno nie miałem w domu ludzi. Moim ostatnim gościem był wścibski pan hydraulik. Swoją drogą kiepski.

Z niezadowoleniem stwierdzam, że łazienka jest pusta. To oznacza, że Dejev musiał wyjść na zewnątrz. Las dookoła bywa zdradliwy, łatwo zbłądzić, o świcie unosi się mgła gęsta jak mleko. Ubieram buty i wychodzę na taras. Intuicja podpowiada mi, że powinienem chłopaka poszukać. Cofam się jeszcze, żeby zostawić na stole niewielką karteczkę, że wyszedłem i zaraz wrócę. Nie chcę by zrobił się chaos i pogubili się wszyscy.

Chłodno. Bardzo chłodno, Mokra mgła zeszła dziś do samej ziemi.

- Dejev! – Krzyczę obchodząc jezioro dookoła.

Do jasnej cholery. On chyba naprawdę poszedł w las.

- De...

Padam na mokrą trawę. Ktoś powalił mnie od tyłu. Szarpię się, ale napastnik zakłada mi dźwignię na szyję. Nie mogę oddychać.

- Puszczę, ale przestań się szarpać i nie wrzeszcz.

Zwalnia uścisk, Pozwalając mi łapczywie złapać powietrze.

- Dejev do jasnej cholery, pogięło Cię? – Chrypię.

– Ciszej. Jeszcze mi za to podziękujesz. Prawdopodobnie uratowałem Ci życie.

Czuję, że całe moje ubranie przesiąkło rosą.

- Nie wstawaj. Czołgaj się za mną. Dobrze, że trawa jest wysoka.

Nie mam bladego pojęcia o czym on bredzi, jednak otumaniony całą sytuacją czołgam się za nim w kierunku lasu.

- Dobra. Możesz podnieść dupę. Jesteśmy już pod drzewami. Teraz musimy się zastanowić jak ich wypłoszyć.

Żyłka na jego szyi mocno pulsuje, źrenice ma rozszerzone jak po spożyciu amfy. Może rzeczywiście coś brał.

- Idiota. Zostawiłeś kobiety same w domu? – Patrzy na mnie ze złością. - Niby masz być najlepszy z nas wszystkich, a ja żadnego fenomenu u ciebie nie dostrzegam.

- O chuj ci chodzi. To ty nawiałeś z chaty bez słowa, rzuciłeś się na mnie i pierdolisz farmazony. A ja jak

ten debil się za Tobą czołgam po trawie.

Najchętniej dałbym mu w gębę. Wyprowadził mnie z równowagi.

Wyciskając z bluzy wodę obserwuję, jak Dejev przeszukuje kieszenie i wyjmuje z nich niewielki scyzoryk wraz z woreczkiem białego proszku. Mówiłem, że ćpun.

- Kreda. Dzięki temu już nie wrócą. – Nie wiem czy mówi bardziej do mnie czy do siebie.

Ślini srebrne ostrze noża i naciera pyłem.

- Ja naprawdę nie mogę Ci teraz wszystkiego tłumaczyć Szalony. – Bierze głęboki wdech. – Ale uwierz mi, jesteśmy w większym bagnie niż ci się zdaje. Mery mówiła, że tak może być. Bez niej nas wyróżną jak kaczkę. – Masz.- Rzuca mi scyzoryk. - Tnij na oślep.

Zaciskam niewielką broń w dłoni. Wygląda na to, że źle oceniłem sytuację. Bardzo źle.

Korony drzew nad nami zaczynają szeleszczyć. Patrzę w górę. Helikopter. Na nasze szczęście powierzchnia wokół jeziora jest zbyt mała i nierówna, aby był w stanie tu wylądować. Schowany za grubym pniem sosny obserwuje jak po linii złażą na ziemię zamaskowani zwiadowcy. Naliczyłem pięciu. Pięciu chłopów, uzbrojonych w długie karabiny kontra my dwaj z jednym, małym scyzorykiem. W tym momencie żałuję, że nie byłem w wojsku. Kompletnie nie potrafię się bić.

- Jaki jest plan?

- Ja biegnę w prawo, Ty w lewo. Ja biegnę robiąc hałas. Odciągam ich. Ty w tym czasie cicho zakradasz się do domu. Kumasz?

- Kumam.

- Wyprowadź dziewczyny w głąb lasu, od południa a potem biegnijcie w stronę miasta. Ludność cywilna powinna ich odstraszyć.

Chciałem zapytać z kim właściwie przyszło nam się mierzyć, ale zanim zdążyłem Dejev był już daleko. Zostawiając za sobą trzask łamanych gałęzi. Skoro w grę wchodziła jakaś kreda, miałem obawę, że to nie są zwykłe istoty ludzkie

Hałas wywołał popłoch wśród naszych wrogów. Zaczęli machać coś rękami, gestykulować i mówić w nieznanym mi języku. Jakby dialekt rosyjski pomieszany z arabskim. Wreszcie po chwili, która dla mnie trwała wieczność, czterech ruszyło za dźwiękiem w stronę lasu. Jeden został. Cholera. Plan nie do końca się powiódł.

Cichutko zacząłem przesuwać się w stronę chaty. Miałem wrażenie, że każdy liść pod moim butem podwójnie szeleszczy. Modliłem się w duchu, by Ana i Mery nie wybiegły w panice prosto w ręce obcego. Dłoń na scyzoryku pocila się.

Kurwa, pomyślałem. Człowiek przeszedł przez własną śmierć, gnił w czyścisku, musiał łapać umarłaków, a teraz jeszcze sam był na celowniku Bóg jeden wie kogo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Atylda, dodano 14.08.2023 10:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.